

Edward Karpowicz

Kłacza, kłaki, chachmęty

Sztuka i Filozofia 8, 221-242

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Edward Karpowicz

KŁĄCZA, KŁAKI, CHACHMEŹY

1. Enklawa praxis pośród przestrzeni wypełnionych narzędziami rozumu

Nihilizm jako ruch myśli od poziomu tego, co przygodne, wielorakie, bezmyślne, szukające dla siebie ujścia poza normami i pojęciami, czyli od poziomu życia tak, jak ujawnia się ono w jednostkowej świadomości poprzez popędy, podniety, pragnienia i potrzeby nie hamowane i nie kontrolowane, ślepe siły nie kierowane wędzidłem rozumu, których działanie wyznacza każdorazowo w głębi podmiotu region intensywności, enklawę niestworzonych energii pośród operacji wytwarzanych przez chłodny rozum, słowem, ruch myśli od poziomu jednostkowej woli mocy na szczyt Jednego jako tego, co konieczne i absolutne, bo za takie uznane przez rozum w akcie rozumnej afirmacji, a może absolutne i święte, ponieważ wyjawione w nadprzyrodzonym świetle. Ten nihilizm nazywam wstępującym, Nietzsche zaś częściej mówi o dekadencji niż nihilizmie przeczącym życiu. Powód, dla którego ruch ten nazywany jest nihilistycznym, jest prosty: w rzeczonym regionie podmiotu ma miejsce właściwa *praxis*, czynność wytwarzania wartości nieinstrumentalnych, autotelicznych. Tak rozumiem stwierdzenie, że najwyższą wartością jest stający się byt. Pogląd ten stanowi jądro nietzscheańskiego prze-wartościowania wszystkich wartości.

Enklawa praxis, królestwo celów pośród przestrzeni wypełnionych narzędziami rozumu, wymyka się refleksji niczym plecy naszemu spoj-rzeniu. Wiemy o niej dzięki wyobraźni, która wykonuje nieskończoną ilość kroków, by uchwycić nieskończoność potencjalną. Finitystyczna matematyka jaźni zakreśla tutaj granice naszej spekulacji.

2. Jeśli platoński ład duszy jest tylko kalką ładu świata

Okaze się wtedy, że „tysiąc to jeszcze nawet nie Jeden” (Paul Celan). Jeden jest król. Król jest królem oznajmiając swą wolę, która u innych znajduje posłuch budzony hipnotyczną charyzmą, wymuszany przemocą, dyscyplinowany retoryką Logosu. Król pragnie, żąda, rozkazuje, a wszystkie poddane mu istoty podążają do niego. Ich tożsamość to podobieństwo, ich życie to uległość temu, co samowystarczalne, nieuwarunkowane, samo do siebie odniesione. Wszystkie istoty żyjące pod „wielkim sklepieniem żaru” kierują się ku Początkowi, ku Centrum homogenicznego terytorium Logosu.

To miejsce, będące źródłem energetycznej wibracji tego, co jest, a nie staje się, tego, co rzeczywiste wbrew tysiącom kopii udanych i nieudanych pokazał Platon, on jako pierwszy wyraźnym gestem zdefiniował miejsce króla intronizując na nim Rozum.

3. Noc nie jest wygnanym dniem

Król-rozum za pomocą wieczystych idei kolonizuje doświadczenie, którego treść zawsze nadmierna i zmienna wymyka się jednak z siatki pojęć i kompromituje uzurpatora. Zarzucona sieć jest tak toporna, jak kraty, spoza których wyziera to, co nie daje się poćwiartować: ciało chaosu, to, co ciągłe, czyli noc. Ale samowładny Rozum roi sobie, że noc jest tylko wygnanym dniem, że wypowiadając swoje inkantacje spacyfikuje chaos ciała, nazwie go pożądaniem i zepchnie w okolice pępka, nazwie go popędem i zamknie w rezerwacie podświadomości. Jednakże Inne nie odstępkuje pojęcia ani na krok, jest jego mroczną aureolą, dającą nam do myślenia, że być może to nie tylko insurekcja chaosu jest winna niedoskonałościom i niepowodzeniom zawłaszczania terytorium życia, ale sama ułomność Rozumu, jego ślepa plamka, punkt zaczepienia nerwu tajemnicy. Człowiek napotyka nieuchronnie takie zapadnie w korytarzach dyskursów, punkty graniczne na kole wiedzy, „patrzy z nich niewyjaśnioność” (Nietzsche), właśnie tam zatrzymuje go uskok sensu, bezsens usuwający twardą ziemię spod nóg.

4. Ratunek przychodzi nie z tego świata

Widzimy oto, że Rozum zbliżając się do kresu swej wędrówki znajduje się znienacka u jej początku, albowiem to ziemia rozstępująca się pod nogami Platona zmusiła go do szukania twardego gruntu nie na tym świecie, do objaśnienia życia zmyśleniem, faktów fikcją, bytu nicością, szczerości pulsującej materii — kłamstwem trupio lodowatym, którego emblematem — o zgrozo! — miałyby być słońce. Tkanina dyskursu może być utkana z racji nieodpartych jak sen, lecz nawleczonych na nici o początkach ginących w mrokach tego, co przygodne, wielorakie albo migotliwie nieuchwytnie. Początkiem i kresem rządzi logika nierozstrzygalnika. Tracimy złudzenia, tracimy naiwność. Ta „uncja prawdy w głębi szafu” każe nam uznać kraty języka za nie do przebycia z naszej strony, zamykają nas one bowiem w więzieniu sensu, który da się rozumnie wypowiedzieć, czyli Logosu. O czym nie można w ten sposób mówić — mógłby rzec Platon — o tym należy milczeć.

5. Błogosławieni słabi i uciskani

Potrząsk Jedynej Prawdy, w jaki wpadamy idąc śladami Platona, jest okupem płaconym nie tyle żądzy wiedzy — powie Nietzsche — wiedzy z definicji zawsze pewnej, ostatecznej, doskonałej, ile moralności podszytej resentymentem słabych, gdyż im to w końcu służy znajomość Bytu złączonego dziwnym uściskiem nadziei poniżanych z Powinnością. Nie wystarczy znać prawdę, prawda musi być pomyślna, musi zawierać energię utopijną, nieść wyzwolenie. Na razie jeszcze nie tutaj, na razie po tamtej stronie.

6. Odwet Kalliklesa, czyli niemoc Rozumu

Rwetes, jaki robi Sokrates, przyparty do muru przez rzecznika czynu bez ideologii — Kalliklesa, nihilistę *avant la lettre*, dowodzi, że tryumf Rozumu był przedwczesny. Tyrada Sprawiedliwego w platońskim *Gorgiaszu*, inkrustowana perłami Wysp Szczęśliwych i Tartaru, demonstruje blamaż Rozumu samotnego w obliczu natury — pojmowanej jako gra

sił — która bez ludzkiej bądź boskiej pomocy nie wydziela z siebie hierarchii sensów i obowiązków, najwyżej rozgardiasz napięcie, skarłatę chcenia, najwyżej znikliwą wielkość wartości.

Wyobraźmy sobie inne zakończenie dialogu, a w nim Kalliklesa nie dającego się zastraszyć, nie ulegającego pokrętnym wybiegom Sokratesa na życzenie autora: „Sokratesie! a jeśli bogowie istnieją, to co? Moja satysfakcja, skutek mojego pożądanego, moja rozkosz ujęta jest w karby nagrody i kary. No i cóż z tego? Jeśli bogowie istnieją, wszystko jest dozwolone! Mówisz, że nie zniosę mąk Tantala, że oszalały z bólu będę się dziwił, iż jeszcze istnieję, gdyż nie znoszę nawet bólu zęba. Czy nie słyszałeś o Sacher-Masochu? Usprawiedliwiasz niebem ziemię, cnotę litości i współczucia wynosisz nad radość stawania się, święty dar zgody na bycie tym, kim się jest, by być tym wszystkim, czym możemy być poza dobrem i złem. Przebóstwiasz jedno wartości kosztem drugich, lecz jakie masz do tego prawo poza życzeniem, by śmierć uczynić piękniejszą. Śmierć zawsze jest odrażająca i ohydna, zawsze poniżająca, żaden bóg ani bogowie, żadna siła nie może uczynić piękną, szlachetną i wzniosłą albo choćby godną tej nędznej przemiany, jakiej jesteśmy wydani. Stajesz się z nagłą rzeczą, przedmiotem gorszym w swej przedmiotowości od stołu czy dzbanu, bo śmierzysz. Śmierć będzie tym zdarzeniem w twoim życiu, Sokratesie, po którym wkrótce przemienisz się w cuchnącą kupę gnoju. Jedyne sposoby, by zrobić ten skandal znośnym dla człowieka, zależy od czasu rozpadu i wolnej decyzji. Wyobraź sobie taką małą dźwignię. Pociągasz i w jednej sekundzie na własne życzenie zamieniasz się w niewidzialną chmurę atomów, a na dodatek masz jeszcze czas na namysł i zerknięcie w lustro. Gorgiaszu! widzisz tu tego oto Sokratesa, który na widok równo przyciętych wartości doznaje zawrotu głowy, rzuć jego wzorce i mierniki na prokrustowe łóżko swej argumentacji, niech zobaczy krwotok wartości, a targnie się na życie, bo utraci ono sens, bo znikną te żałosne racje, na których wspiera się jak pijany na latarni. Jeden suwerenny krok i pada. Sokratesie! pozwól by zapanował rozum natury, a życie samo wytyczy sobie cele, albowiem z każdą wysłaną strzałą leci cel wraz z nią wystrzelony (Celan). Twoje śmieszne pretensje dowodzą, że jesteś wielkogłowym, koślawym, pierdzielowatym fanfaronem”.

7. Platoński ład świata jako projekcja ładu ludzkiej duszy

Gwałtowna reakcja Kalliklesa na Sokratesowy wywód przybliży nas do nietzscheańskiej genealogii, która, zdaje się, jest najbardziej skuteczną metodą krytyki idei fundamentalnych. Spór Sokratesa z Kalliklesem to sprawa gardłowa nie tylko dla Platona, gdyż amalgamat Bytu i Dobra leży u podstaw jego metafizyki jako efekt dyspozycji właściwej wszystkim ludziom. Chęci ucieczki od nierozumnego chaosu, będącego źródłem cierpienia, nie okazują tylko wyjątki, poprawiające dobre samopoczucie ogółu. Szaleńcy bez reszty w nim pogrążeni, choćby i chcieli, nie mogą się z niego wydobyć, ci zaś, a są oni najmniej liczni, którzy będąc przy zdrowych zmysłach wybrali poszukiwanie zaspokojeń poza ludzką wspólnotą, to potwory. Osobnicy, w oczach człowieka normalnego, wypełniający rezerwuuar obłąkania, krążą oni po terenach przyczajonej zbrodni, by na koniec osiąść w chlewie plugawych zadowoleń.

Zapytajmy, czy Kallikles jest jednym z nich, pomni oczywiście tego, że granice ludzkich rojeń wyznacza pycha i nikczemność ponagłana skwapliwym fantazmatem albo wielkoduszna naiwność właściwa małym dzieciom i twórcom nowych wartości. Kallikles jest młodym, butnym ateńskim arystokratą, widzącym, że oto Sokrates ogarnięty duchem prozelityzmu przenicowuje dotychczasową hierarchię wartości, wynosi jedne z nich ponad ziemię, ponad spór rozmaitych dążeń, w charakterze ostatecznych i niewzruszonych instancji osądzających, a przecież wszelkie probierze są w takim stopniu absolutne, w jakim mówcy uda się do nich przekonać swych słuchaczy.

8. Zrozumieć przekleństwo wielości

Bogowie umierają, owszem, ale ze śmiechu, kiedy słyszą jak jeden z nich mówi o sobie, że jest Jedynym (Deleuze). Agresywny bezwład Jednego ma zapanować, jak chciałby Platon, nad bezsilną mocą wielości. Lecz jak zrozumieć *p r z e k l e ń s t w o w i e l o ś c i*, jeśli nie przez wskazanie na przyczynę nakazu różnicy.

9. Niespisana nauka wyjawia przyczynę różnicy

Wiedza o tym źródle uznawana za nazbyt ważną, by należało ją rozpowszechniać, nie znajduje się w dialogach, i — jak można sądzić — dostępna była tylko najbardziej zaufanym uczniom. Z zachowanych szczątków niespisanej nauki dowiadujemy się o Jednym i Nieograniczonej Diadzie, dwóch pryncypiach, które pogrążone w zgubnym nałogu ocieractwa wytwarzają całą różnorodność świata. Dopiero ta piramidalna jedność założona na szczycie pozwala zrozumieć to, co dzieje się na dole metafizycznego ostrośłupa.

Umysł filozofa, kiedy ten wychynął głowę z jaskini i oślepił, kieruje się ognistymi rysami na sam słoneczny szczyt piramidy, mijając po drodze (*ordo cognoscendi*) liczby, idee i metaidee, by potem zawrócić i podążyć niczym sam byt w kierunku pierwotniejszym (*ordo essendi*), na koniec osiągając chłodne i zatechłe dno jaskini. Nocna podróż skończona, polucja napęcniałego Rozumu zostawia złocisty refleks. Wtedy najłatwiej zabić się otwierając z rana oczy, rozglądasz się wokoło i widzisz, że jest nieprzytulnie, jest ci źle, trawiony daremną nostalgią twierdzisz, że rzeczy są niezrozumiałe, że skazany jesteś na ten sam bezsens, na bezsens tego-samego, kołowrót biologicznej reprodukcji.

10. Marionetka winna uznać władzę sznurków

Po co wystawiałeś głowę — rzekłby Kallikles — przecież nonsens może być sensem tego, co namacalne pod powierzchnią, „pozwijających kiszek, pospiesznego biegu strumieni krwi, powikłanych wibracji włókien” (Nietzsche), ukrytego garnituru genów, władczo kierujących substancją organiczną, może być przecież sensem biologicznym. Rzeczy zrozumiałe są o tyle, o ile są użyte w imieniu biologicznego impetu: życia pożądającego więcej życia. Twoja podróż, drogi Platonie, to *sen niemowlaka o matczynym łonie*. Anamneza to najwyżej dziecinna fabulacja. Widać niepodobna zrozumieć twojej filozofii bez odkrycia skłonności twojego ciała. Przeraża cię, nieprawdaż, ta nieubłagana konkluzja, na jaką musimy przystać, że jedyny ruch jaki jest nam dany, to spętany ruch marionetki. Lecz zważ, czy filozofia godna swego miana nie rodzi się z przerażenia, które nie zadowala się iluzoryczną pociechą. Czyż można wybaczyć filozofowi

tchórzostwo? Jedyne spełniając wymogi maksymalne stanie się mędrcem (Schopenhauer). Uznaj rzeczywistość zdegradowaną, a zobaczysz, jak marionetka pokocha własne sznurki, ulegnie ich władzy i mocą ledwie co nabytą zniszczy dekoracje, zburzy iluzję. Przed kukłą stoi zadanie przemieszczenia tego ruchomego punktu identyfikacji — jakim jesteśmy — z pakuł i trocin rozpychających jej wydrażony czerep i kadłub na sznurki — jeśli tego chcesz, powiedz: popędy — te prawdziwe więzidła i mięśnie, na muskulaturę duszy. Dzięki tej fundamentalnej rozsadzie zniesiesz obcość utożsamiając się z tym, co obce. Uwolnisz ciało z więzienia duszy (Foucault). Uwolnisz spod hegemonii jej części rozumnej część pożądlivą. Czyż nie jest ona tym, co obce, tylko dlatego, że taką rolę zagrała w twojej komedii omyłek? Przecież to, co nazywasz *Rozumem*, jest w najlepszym razie *wyobcowanym życiem*, to, co *moralnością*, jest *wynaturzeniem*, a wielbiony przez ciebie ideał to *degrengolada wartości* służąca ludziom podległego stanu.

11. Straszliwa symetria nieba i ziemi

Podążając bez przerwy za niepohamowanym ruchem myśli Nietzschego, dotarliśmy wystarczająco daleko, by stanąć teraz w ryzykownym miejscu, z którego widać całą straszliwą symetrię nieba i ziemi. Jeśli myśl Zaratustry jest pociskiem, to na końcu trajektorii trafia tego, kto pociągnął za spust. Składając bowiem cały Rozum w ofierze życiu, czyli redukując bez reszty dystans między niebem a ziemią poprzez umieszczenie kryteriów wartości w życiu samym, zauważymy niebawem — jeśli starczy nam konsekwencji — że ofiara jest całopalna, gdyż zagładzie ulega przytomność człowieka z krwi i kości, nie zaś wyłącznie hipertroficzna narośl na zdrowej świadomości. W przeciwnym razie duch byłby zbędny, niczym karbunkuł na wyprężonej i gładkiej materii.

12. Koniec przedstawienia, czyli odwracanie platonizmu

Pójdźmy zatem tam, gdzie poszedł sam Nietzsche, pamiętając o tym, że on właściwie nie pisał, lecz podkładał ładunki wybuchowe. Oto najsilniejszy z nich kończy przedstawienie pod tytułem *Metafizyka*

Platona, dekoracje rozpadają się, znika sama scena. Wraz ze sceną znika jednak połączona z nią antonimicznym związkiem widownia. Mogłoby się wydawać, że kiedy widok ze sceny — widownia jako świat pozorny, scena jako rzeczywisty — okazał się halucynacją, wystarczy zwykła zamiana etykietek — dyktowana zamiarem restytuowania trzeźwego oglądu — a to, co rzeczywiste, będzie rzeczywistym, pozorne zaś pozornym. Że cienie, które dotychczas rzucały prawdziwe przedmioty z góry na dół, będą wreszcie rzucone z dołu do góry, będą wreszcie odbijane od ciał z krwi i kości, ich materialność jest przecież szyderstwem wycelowanym w bezcielesne fantomy. Niestety — powie Nietzsche — mamy południe, chwilę najkrótszego cienia i jeśli tylko — dopowiedzmy to — staniemy we właściwym miejscu, a więc tam, gdzie stanął on sam, cień zniknie zupełnie.

13. Życie utożsamia się z opowieścią o życiu

Nie ma już sceny ani widowni, ale pozostała opowieść oraz narrator i słuchacz. W pewnym momencie spostrzegają oni ku swemu zdumieniu, że są bohaterami opowieści, której zdarzenia pokrywają się ze zdarzeniami, w jakich właśnie biorą udział. Opowieść zatem opowiada się sama, oni zaś „wchodzą w ciemne zagajniki wśród prześladowczych głosów, zdjęci zimnym strachem, ktoś jedzie na ich grzbiecie, cmokając z zadowoleniem, dopóki nie wycisnie z nich serca, ktoś Inny stawia swoje stopy zamiast ich stóp...” (Gunnar Ekelöf). Kiedy opowieść o życiu jest życiem samym, Ja staje się kimś Innym. Piekielna wrzawa wszystkich wolnych duchów, na szczycie ludzkości wieszczących koniec najdłuższego błędu (Nietzsche), zamienia się rychło w psychiatryczną krystalizację wokół otchłani chaosu.

Kiedy opowieść o świecie platońskich idei staje się bajką, uwidacznia się straszliwa symetria nieba i ziemi: albo szaleństwo kłamliwych zmyśleń, albo szaleństwo ślepego życia.

14. Czym jest nihilizm?

Nihilizm to — jak uczy nas Nietzsche — konstruowanie świata wartości ponad i wbrew siłom życia, które szukają dla siebie ujścia,

nie zważając na dotychczasowe nakazy i zakazy moralne, gdyż najwyższą wartością jest sam stający się byt. Nihilizmem jest również takie dekonstruowanie tego świata, które wyczerpuje się na sobie samym i nie szuka ratunku przed skutkami dekadencji, czyli przed śmiertelną pustką zachcianek człowieka stadnego. Nihilistą jest ten, kto wierzy w boga, jak i ten, kto zachłyśnięty wolnością zatrzymuje się na ruchu negacji, nie dostrzegając, że jest ona jedynie trampoliną, dzięki której możemy wyminąć ostatniego człowieka. Człowieka mamionego nowoczesnymi ideami demokracji, liberalizmu, socjalizmu i nacjonalizmu, tymi podmiotami chrześcijańskiej dekadencji, które mu rozmiękczają mózg, powodują kołowaciznę oraz zmrażają wolę.

15. Absolut albo rozpad

Widzimy człowieka nowoczesnego, jak otrząsa się z neurastenicznego odrętwienia; przed chwilą jeszcze był unieruchomiony brakiem nadziei na jakieś rozwiązanie, choćby ostateczne, teraz zdziwiony zadaniem, jakie stawia przed nim Nietzsche, ostatnim wysiłkiem galwanizuje swoje ciało. Widzimy go nad przepaścią, jak wykonuje jakieś dziwaczne skłony, *skłony ku nicości*, jakby wahał się, czy zrobić ten krok do przodu, czy do tyłu, bo już dłużej nie może stać w miejscu, bo już zwalczył paraliż woli. Niech tylko cofnie się nieznacznie, a wnet pochwyci go pionowy cug Jednego, niech tylko zrobi ruch niebaczny do przodu, a nawet nie zdąży zauważyć, jak myśl jego zacznie zataczać coraz mniejsze kręgi wokół szaleństwa, by w końcu ulec płomieniom spiskującym ze ślepotą własnego nierozumu. *A l b o absolut, albo rozpad.*

16. Obietnica trzeciego wyjścia

Cha, cha, cha! Gdyby los — słyszemy śmiech Zaraturstry — wypełniał się tylko na te dwa sposoby, obydwa będące figurą wyzbycia się suwerenności, najdoskonalszym wtajemniczeniem w ceremonię istnienia byłoby *n a r k o t y c z n e o s z o ł o m i e n i e*. Zabiliśmy Boga, to oczywiste, lecz nie znaczy to, że jednocześnie przerwaliśmy niezmordowaną pracę *principium individuationis*, że tym samym zabiliśmy

siebie. Groza tego wydarzenia może spowodować agonalny dygot u jednostek ubogich duchem, może doprowadzić je, poprzez likwidację różnicy między ich bytem, a pojęciem ich bytu, do finalnego ogołocenia, duchy wolne zaś krążą w tym czasie w radosnym tańcu. Nadeszła godzina wielkiej wzgardy (Nietzsche), kiedy „to co przygniecione trwało — naprzód runie, co naprzód szło — upadnie wstecz”, więc „nie-nawidzić pora, co kochałeś, i kochać co znienawidziłeś” (Miłosz), a wtedy szczęście twoje wstrętem cię przejmie, rozum twój, cnota twoja zmierzi cię (Nietzsche).

17. Ograniczenie dekonstrukcji

Dopiero zatem nauki Zaratustry odczytane jako pewna wersja — jak się okaże — o d w r ó c o n e g o p l a t o n i z m u, pozwolą zachować przytomne i suwerenne życie oraz właściwą miarę, na jakiej musi opierać się większość wyborów podtrzymujących to życie. Życie suwerenne kierowane jest przez suwerenny rozum, taki więc, który budując burzy i burząc buduje, ujawniając tym samym wieczną tymczasowość ludzkiego świata, oczywistą niepewność odcisniętą na poznaniu. Niepewność broniącą się przed samozwrotnym zapętleniem tą samą metodą, co używana jest i w ataku: podejrzeniem, nazywanym dzisiaj — w czasach uogólnionego sceptycyzmu — *dekonstrukcją*. Dekonstrukcja musi być jednak z premedytacją ograniczona, w przeciwnym bowiem razie ruina gmachu metafizyki, zbudowanego na opozycji między istotą a pozorem, okaże się zagładą świadomości potocznej, uzależnionej w swym trwaniu od przeświadczenia, iż różnica między tym, co jest, a tym, co się tylko wydaje, nie jest wyłącznie pobożnym życzeniem filozofów.

18. Nowa moralność

Życie wznosząc się bądź degenerując — wedle życzenia — w ludzkim duchu, posługuje się z m y ś l e n i e m jak lekarz lekarstwem uśmierzającym ból. Chodzi o to, aby przetrzymać cały ten ból bez pomocy dotychczasowych anestezjologów, których metody koniec końców jeszcze bardziej wyniszczały organizm. Dzielnosć posiędzie ten

tylko, kto przystanie na materialistyczną w gruncie rzeczy tezę: poza pudełkiem puzzle i jego zawartością nie ma dokładnie niczego, czym winniśmy się przejmować. Krok taki, jeśli nie da nam dzielności, zapewni przynajmniej intelektualną uczciwość, bez której nowa moralność będzie starym cynizmem.

Wrodzona łatwość, z jaką przeocza się oszustwo, drzemiące na manowcach rozumu, prowadzi niektórych do lękliwej dezaprobaty dla przekonania, że świat jest doskonałą immanencją, nieskażoną nawet najbledszym promieniem nieobojętnej nam transcendencji. Rozwiązcie im ręce skrępowane żądzą wieczności, a rzucą się na bliźnich lub umrą z rozpacz.

19. Nowy ascetyzm

Inny rozum, inna cnota, inne szczęście, to nowe cele podążające za strzałą namiętności uwolnionych spod władzy minionego ascetyzmu, „tej ostrej formy głupoty” (Nietzsche). Nowy asceta wie, że popędy są wszystkim, dlatego powściąga je, by powściągnąć samego siebie, by nie ulec rozerwaniu na tysiące pragnień. Pojmimy niechęć Platona do nieokiełzanych namiętności, gdy uświadomimy sobie, że człowiek o niewyodrębnionych popędach nie posiada jeszcze przekonań (Nietzsche), ten więc kto je posiada, a przebywa jednocześnie w orbicie Jednego, jest heretykiem (Bossuet), gdyż może on być co najwyżej eksponentem jednego przekonania.

20. Zamglony blask zeschniętych absolutów

Nieprawomyślnych można przyżęgać niczym chore tkanki mistycznego ciała prawdy, można przywalać ciężarem moralnej ohydy, jakiej zawinili, można strofować jak niegrzeczne dzieci lub wysłuchiwać i spierać się z nimi, można to wszystko robić po kolei albo jednocześnie, lecz nie w imię Jednego, ponieważ Jedno — i tego uczy nietzscheańska krytyka — jest nieosiągalne. Gdyby nadszedł dzień oczekiwany przez Zaratustrę, w którym *blasfemie bezbożnika* i *wniebogłoty wierzącego* nastręczałyby tylko okazję do śmiechu, człowiek normalny skory byłby mniemać, że ci, co karmią się odpryskami Jednego są —

jak mordercy natchnieni szlachetną ideą — źle powołani. Tymczasem nowocześni ludzie krzają się w zamglonym blasku zeschniętych absolutów, albowiem w epoce nihilizmu wszystkie absoluty są zeschnięte jak wystawione na słońce zafajdane gacie.

21. Metalurgia sensu

Niektórzy z naszych bliźnich oddają się rozkoszom przeczenia i widzą, że „niebo jest czyste, jakby ścierką wytarto to, co niewidzialne” (Mystykowski), inni znajdują rozkosz w afirmacji i usiłują zostawić „śląd swojego kęsa w niczym” (Celan), jeszcze inni — a imię ich legion — żyją z nawyku, a zabójczą nudę nadającą ich umysłom konsystencję żelu usuwają mechanicznym oszołomieniem. Wszyscy oni na co dzień zanurzeni są w mule automatyzmów i tylko z rzadka doświadczają dziwnych chwil jasności, kiedy to, co nieprzenikalne, na moment udaje się przeniknąć, choćby po to, aby uznać, że tak naprawdę nieprzenikalność jest niezbywalna, chwil o takiej intensywności, która daje odczuć, że oto mamy do czynienia z metalurgią sensu. Na co dzień to, co boskie, prowadzone jest na smyczy zakazu lub ogłupienia, ale od czasu do czasu zrywa się i skacze nam do gardła, uwalniając ekstazę komunikacji. Te chwile są jak węzły na linii czasu, pozwalające ślepcowi pewniej stawiać nogi na szaroczarnym pustkowiu. Żadna próba społecznie sankcjonowanego odnawiania zasobów wartości ludzkiej wspólnoty nie może pomijać roszczeń, których źródłem są te doświadczenia. Nie powinna też nadawać im mocy absolutnej.

22. Ostatni ludzie, czyli tryumf dekadencji

Po tym, co się rzekło, konieczna jest lektura nietzscheańskiej przypowieści o linoskoczku i jego porażce, lektura ochraniająca nas przed podobnym upadkiem, o ile oczywiście rozpoznajemy u siebie chorobę nihilizmu, o ile pragniemy odpowiedzieć na wezwanie Zaratustry: „pozostańcie wierni ziemi..., ziemi bluźnić jest rzeczą najstraszniejszą, jako też cenić bardziej wnętrzości niezbadanego, niżli treść tej ziemi!” Pamiętamy, jak Zaratustra po zejściu z gór zaczyna nauczać idei nad-

człowieka, nieświadom, że robi z siebie pośmiewisko, przemawia tedy inaczej, jak mu się zdaje, do dumy zebranego tłumu, opisując coś najbardziej godnego pogardy, a więc ostatniego człowieka, który szczęściem nazywa sytość i wypoczynek, drwi bez miary, gdyż sam poprzestaje na małym, ceni zdrowie nade wszystko, bo bez niego nie mógłby zapalać się do różnych rozrywek, pogrążony w żalosnej błogości siedzi ni to w słońcu, ni to w cieniu, bacząc jedynie na wygodę, jeden ze stada równych sobie standardowych osobników, powierzchownych jak lakier, wreszcie szczęśliwych. Lud wysłuchał i śliniąc się zawołał: „uczynź z nas ostatnich ludzi!”, po czym nagle oniemiał widząc wysoko w górze linoskoczka ryzykującego życie.

23. Linoskoczek i błazen liberalnej demokracji

Po linie rozpiętej między zwierzęciem i nadczłowiekiem posuwał się nad przepaścią ten, który u m i ł o w a ł n i e b e z p i e c z e ń s t w o, „gdyż obdarza on ustawicznie, a siebie zachować nie pragnie”, „głowa jego jest tylko trzewiem serca, serce wszakże prze go ku zagładzie”, gdzież bowiem jest wielkość człowieka, jak nie w tym, że jest on „przejściem i zanikiem”, „mostem, a nie celem”. Niestety w połowie drogi w dzieło linoskoczka wtarga kpiący błazen, nazywając siebie lepszym zawodnikiem. Kiedy z przeraźliwym wrzaskiem przeskakuje nad nim, ten traci głowę i roztrzaskuje się o rynek, płosząc sytą gawiedź.

24. Człowiek jest najwyżej mieszczańskim kompromisem

My wiemy, że nawet gdyby linoskoczek dotarł do końca liny i przemógł dzisiejszego człowieka pośród jego zidiociałych dekoracji, tam, po drugiej stronie, niechybnie „piorun liznąłby go swym językiem a błyskawica poraziłaby ciemnością”. Jeśli człowiek nie może być niczym więcej niż mieszczańskim kompromisem (Hesse), błazen i linoskoczek powinni podać sobie ręce i asekurując się stąpać powoli do przodu, złączeni zbawiennym uściskiem ironii i powagi, chwały i sztyderstwa.

25. Przewycięzenie nihilizmu poza domem wariatów

„Nietzsche ocalony” i „Nietzsche obłąkany” to dwa możliwe scenariusze przewycięzenia jego nihilizmu zaszyfrowane w jego dziele. Ten drugi jest radykalną wersją odwróconego platonizmu, ruch negacji bowiem postępuje w nim od życia na szczyt Jednego, po czym zawraca i wykreślając pełną sinusoidę domyka się na zerowym poziomie myśli, czego efektem jest zarazem anihilacja jednostkowej przytomności. W wersji umiarkowanej ruch negacji antycypuje swój dwuznaczny kres i nie zakreślając pełnej sinusoidy zatrzymuje się na obszarze nihilizmu zstępującego. Powiedzmy tedy, że nigdy nie gasnące siły dekonstrukcji oraz konstrukcji utrzymują kursor negacji w stanie chwiejnej równowagi. Jeśli jej amplituda nie będzie sięgała ani poziomu Jednego, które jest ogniskiem nihilizmu — gdyż ruch do niego oraz od niego nihilizm definiuje — ani prymarnego poziomu życia — gdyż w jego pobliżu zanika tożsamość osobowa oraz przytomność, jakości konstytuowane przez zdolność do posługiwania się opozycjami prawdy i fałszu, rzeczywistości i pozoru, oraz fundującą je wszystkie opozycją bytu i niebytu — to możemy mieć nadzieję na podżwignięcie się nihilizmu niemalże metodą barona Münchhausena. Polega ona na uznaniu nieustających wahań kursora negacji na obszarze nihilizmu zstępującego za symptom zagrożenia zawieszonego lub przynajmniej bezpiecznie osłabionego. U podłoża takiej wolty leży przekonanie, że bezruch — kursor negacji unieruchomiony — jest groźniejszy niż ruch, oraz świadomość, że sprzeciw wobec niej rzuca nas w ramiona śmierci, śmierci za życia.

26. Paradoks nadczłowieka

Jakkolwiek śmierć taka może będzie przyjemna, słuszną i zbawienną, a swym ostatecznym ogołoceniem sprowadzi ostateczne oświecenie. Buddyjska pustka wykaże niejaki podobieństwo z ojczyzną wolnych duchów, do której wędrował linoskoczek, o ile, rzecz jasna, założymy taką naturę samowystarczalności nadczłowieka, która po wyzbyciu się wszelkiego myślenia opozycjami nakaże mu wyżyć się wszelkich pożądań, ponieważ nie znajdując w sobie kryterium dla ich selekcji będzie musiał uciekać przed tumultem spowodowanych napięć. Być może kon-

sekwentny nadczłowiek to Budda. Jednakże Budda wybierając drogę środka oddala się od realnej martwoty życia, stężalego w bezruchu. Rezygnuje także z walki — żywiołu nadczłowieka — w jakiej ten tylko, „co krew od innych ma gorętszą, na cwałującym stanie złotych głów tabunie i z krzykiem w dół obróci ostry miecz (Miłosz).

Paradoks ide i nadczłowieka „pęka niczym wrzód pod pierwszym uderzeniem” (Mystkowski).

27. Kłaczka miast jednego korzenia

Niemniej walka trwa. Ruchy tektoniczne wstrząsające terytorium Logosu powodują, że jego centrum idzie w rozsypkę. Szlaki, drogi, arterie przecinają kolumny maszyn wojennych, podążających w strony zadane rozkazem. Wielka machina wojny paraliżuje osiadłą maszynę państwa stabilnego w czasie pokoju. Mapy służą teraz do nakładania strzałek i linii w kierunkach dyktowanych zmieniającymi się ustawicznie okolicznościami. Rozkazy padają w zdumiewających chwilach jasności, gdy mamy odwagę zedrzeć nieprzeniknioną maskę rzeczy. Postępujący proces deterytorializacji w y k o r z e n i a b y t z J e d n e g o, ujawnia podziemną, podskórną gmatwaninę linii i strzałek, nowy obieg krwionośny, zasilany tysiącem serc wypływających z siebie rozkazy: zrób to, wybierz tak, uwierz temu! Wszystko jest splątane, zbite, trudne jak k ł a c z a, k ł a k i, c h a c h m ę t y.

Być może tak wygląda początek epoki deluzjańskie j, w której przestrzeń organizują kategorie różnicy i powtórzenia, nie zaś jak dotychczas, tożsamości i podobieństwa, w której myśl nomadyczna, wciąż poszukująca nowych dróg do mnogości niewyobrażonego, zastępuje myśl osiadłą na starych traktach, prowadzących wciąż do Tego Samego.

28. Cybernetyczni ateści epoki deluzjańskiej

Istoty przystosowane do życia w czasie, kiedy r i z o m a t y k a wyprze doszczętnie h e n o l o g i ę, będą cyborgami, których myślenie zawężone do pojedynczego celu uchroni przed rozterkami odróżniania

rzeczywistości od pozoru, dobra od zła, tego, co liche, od tego, co dostojne.

Cybernetyczni ateści epoki deluzjańskiej żyjący w marazmie stłoczenia, to sobowtóry nie mniej cybernetycznych fideistów epoki Boga, żyjących w patosie oddalenia, a sterowanych matematycznie wykonanym kodeksem moralnym.

W czasie, gdy to, co niskie, wchłonie w siebie bez reszty to, co wysokie, kultura masowa stanie się kulturą po prostu, kulturą ostatnich ludzi.

29. Tam, gdzie jest zagrożenie, pojawia się też ratunek

Zanim jednak z wielkiego pieca wyjdzie pancerna szarańcza, a niebem przeleci włochaty orzeł, wołający donośnym głosem: biada, biada, biada, po trzykroć biada! (Ap. św. Jana), przypomnijmy gdzie można szukać ratunku.

Rzec by można, że roślina mająca kłącze miast jednego korzenia, usycha dopiero wtedy, gdy przycinamy je według własnego widzimisię. Mamy przeto rizomatyków podciągających wszystkie wartości pod jeden strychulec, a w konsekwencji skazanych na wybór między przemocą dowolności a dowolnością przemocy, oraz rizomatyków wierzących, że zmienna siła wartości i poglądów mierzona jest zmienną siłą racji i argumentów w dyskursywnym dialogu. Wśród drugich są i tacy, którzy widząc nieskuteczność społecznych procesów mediacji stają się nihilistami *par excellence*, oraz tacy, którzy z tego samego powodu stają się konserwatystami, bowiem konserwatysta tylko *prima facie* — na gruncie tego, co się rzekło — musi być nihilistą.

Żeby zostać konserwatystą wystarczą dwie rzeczy: troska o kulturę oraz historyczny stosunek do problemu Hobbesa, to znaczy przekonanie, że bez Boga, bez króla, bez tabu nie poradzimy sobie z naszą nędzą, że nasze instytucje rozpadną się jak domki z kart, grzebiąc naszą pomyślność.

30. Zaratustra jako gwiazdor porno

Tabuizacja pewnych opinii może jednak prowadzić do dwóch miar w moralności. Zaratustra — w roli szalonego człowieka — szukając

na rynku, z latarnią w ręku, Boga, produkuje w samo rozświetlone południe filozoficzną pornografię. Zaratustra hańbi pojęte ciało prawdy obwieszczając ją publicznie, a tym samym staje się gwiazdorem porno.

Tymczasem Leo Strauss i jego wyznawcy chcą używać tej fatalnej późną nocą, w zaciszu własnych sypialni, przy zasłoniętych oknach i przygaszonym świetle. Seks grupowy? Proszę bardzo, ale tylko w gronie zaufanych i dyskretnych przyjaciół. Gest Zaratustry jest dla nich jak brudny komin, wyrzucający w błękit nieba trujące wyziewy, albo jak żylasty członek brukający delikatną skórę dziecka. Bo przecież poza filozofami wszyscy są dziećmi. Hipokryzja uświęcona szlachetnym zatroskaniem czyni z nich mędrców, depozytariuszy prawd nazbyt ważnych, by można je było rozpowszechniać.

31. Jeśli Bóg istnieje, powinniśmy żyć tak, jak gdyby go nie było

Prawdopodobnie jednak wiarygodność takich ważnych prawd — o ile istnieją — ulegnie szybkiej inflacji, doprowadzając do skutku odwrotnego niż zamierzony, jeśli tylko będziemy je niepomiarkowanie powtarzać. Zważywszy, że dzieci przecież potrzebują ojca, będzie nim wkrótce wódz, inny bóg lub Ten Sam. Skoro nie usprawiedliwiamy stosowania w moralności dwóch miar, musimy wobec tego orzec, że nawet jeśli Bóg istnieje, powinniśmy żyć tak, jak gdyby go nie było, ponieważ jako prawomocny fundament jest on nieosiągalny. Mówiąc inaczej: powinniśmy likwidować rudymenty tradycyjnej legitymizacji naszych instytucji, aby ustrzec się obłudy.

32. Cynizm albo śmierć

Najpewniej Strauss odrzuciłby takie rozumowanie, powołując się na przypadek pewnego francuskiego libertyna, który nie wierzył ani w Boga, ani w duszę nieśmiertelną i zbawienie, lecz dbał usilnie o to, by jego służący był dobrym katolikiem, w przeciwnym razie zachodziłaby obawa, że poderżnie mu gardło. Mamy przeto kolejną dysjunkcję: cynizm albo śmierć.

33. Idioci napominający z natarczywością właściwą echolalii

Ale prawdę powiedziawszy, zadania policjanta nie są zadaniami filozofa, chociaż niekiedy od pracy filozofa może zależeć czas i rodzaj pracy policjanta. Wtedy — to znaczy, gdy większość mniema, że *kak Boga niet, otca w mordu można*, a inne mechanizmy poręczające ład są nie dość skuteczne — zmuszeni jesteśmy uznać wyższość arystokratycznej republiki, zełganej u podstaw, nad samoniszczącymi się formami demokracji. Nim nadejdą takie nieprawdopodobne czasy — a ktoś może wiedzieć, kiedy to będzie? — Zaratustra w odpychającej dla siebie roli błazna liberalnej demokracji lepiej nas strzeże przed nihilizmem, niż idioci napominający z natarczywością właściwą echolalii, że skoro odrzucamy istnienie Boga, wszystko jest dozwolone.

34. Jeśli Bóg nie istnieje, nic nie jest dozwolone

Lecz jeśli nie ma Boga, nie ma też żadnych zakazów, których odwrotną stroną miałyby być zezwolenie. O zezwoleniu możemy mówić, gdy nie istnieją pewne zakazy, nie zaś wtedy, gdy nie istnieją żadne, ani nawet możliwość ich istnienia. Zatem skoro nie ma Boga, nic nie jest dozwolone. Aby budować takie niewczesne sylogizmy wystarczy, jak widać odrobina nonszalancji.

35. Wielkość jaka nam przystoi

Myślenie krążące między absolutem a nicością jest nie z tego świata, tutaj wszystkie rzeczy są wybrakowane, niecałkowite, niedoskonałe, nie sięgające ani absolutnego Czegoś, ani absolutnego Niczego. Tam byliśmy, gdy nas jeszcze nie było i będziemy, gdy już nas nie będzie, będziemy niczym lub — jeśli chcecie — wszystkim. Na razie wielkość, jaka sama nam przystoi, musi być średniej miary. Bo „jeśli wielkości nie znajduje się w Bogu, nie znajduje się jej nigdzie; trzeba ją przekreślić albo stworzyć” (Nietzsche). Na miarę przelotnej boskości prawd tymczasowych, lecz nie chwilowych, pewności nietrwałej, lecz nie znikomej, biorącej swój początek bądź w epifanii zrozumienia, bądź w międzyludzkim porozumieniu.

Tylko taka znikliwa boskość została po śmierci Boga, wreszcie boskość sama, odwieczna jak człowiek, jak ziemia.

36. Obrzędy pożegnalne Jednego

Nietzsche, będąc inicjatorem uroczystości pogrzebowych Boga, odchodzącego dotychczas bez ostatniej posługi, jaką ma oddać ludzki namysł, rozpoczyna jednocześnie obrzędy pożegnalne Jednego.

Jedno, czyli *arche* doskonałego istnienia, ostateczny fundament poznania, lub absolutny probierz wartości — zasady od wieków, od platońskiego założenia konstytuujące miejsce króla. Pretendenci oblegający miejsce króla cisną się i mieszają, tłoczą i rozpychają; król-duch, król-Bóg, król-rozum i jego nowoczesna primogenitura, awatary i karykatury doskonałego początku: natura, doświadczenie, proletariat, ego transcendentalne, zadania protokolarne. Jedno rozpadając się w procesie dziejowej transmutacji na tysiąc części ludzkiego pragnienia zaszczerpia w każdej z nich beczelną pretensję do bycia całością. Splendor niepodzielnego panowania odsuwać ma w niepamięć ten dwuznaczny blask koronacji, skrywający zuchwałą uzurpację.

37. Aleatoryczna jedność zamiast Jednego

Dopiero dzisiaj Jedno, sproszkowane na tysiąc kotłujących się pożądań, tęsknot i obaw jednostkowych i zbiorowych, okupione zdradzieckim kompromisem z wielością, odnajduje siebie w *a m o r f i c z - n y m w o r k u p r a w c z ł o w i e k a*, w owej postmodernistycznej — rzecz by można — aleatorycznej jedności, która z dala od monolitu swej archaicznej postaci stanowi pierwszą próbę dążeń kontradiktoryjnych części. „Postmodernistyczna jedność” to nie *contradictio in adiecto*, ale raczej zapowiedź Całości pozbawionej totalizujących przyzwyczajęń oraz Części rezygnujących ze swoich totalistycznych marzeń.

38. Ostateczność opowieści o prawach

Opowieść o prawach człowieka — a także o prawach istot nie-ludzkich — może być ostatnią w porządku wielkich

zamyśleń — czy jak chce Nietzsche: zmyśleń — o Absolucie, Naturze, Człowieku, Historii; może być też ostatnia w porządku uprawomocnień, jeśli tylko uznamy jej samowystarczalność i nie będziemy szukać dla niej wsparcia w opowieściach o prawach boskich bądź prawach historii.

39. Przestrzeń wytyczana chybotliwym biegiem kursora negacji

Uporczywy nawyk do wiązania tej opowieści z prawem naturalnym, ugruntowanym w Bogu lub niezmiennej istocie rzeczy, przesądzającej o niezmiennej treści praw, utrudnia rozpoznanie jej docelowej przestrzeni, wytyczanej chybotliwym biegiem kursora negacji, przestrzeni zamykanej z góry morderczym myśleniem Jednego, z dołu zaś bezmyślną mnogością życia. W jej dół nieustannie ściągają swą uwagę galernicy przeczenia, nie znają oni powagi całości, nie widzą jej hieratycznego sklepienia, gdyż stojąc na usypiskach zasad dojrzeć go nijak nie mogą. Grzęzną w nihilizmie równie nieszczęśliwie, jak ich wrogowie — umieszczający swe nadzieje wyżej, dużo wyżej — jak ci, co uwalniani zeschniętym absolutem gorączkowo szukają oparcia w jego atrapach.

40. Zakład Pascala contra zakład satanistyczny

By odeprzeć zarzut nihilizmu wstępującego, można ośmielić się wierzyć w Boga jako hipotezę, za pomocą której, skoro okaże się trafna, zyskamy wszystko — a więc pomyślność wieczną — a niewiele stracimy — najwyżej poznawczy awantaz — kiedy mogłoby się okazać, że nie chybiała jedynie w nasze potrzeby.

Oczarowanie zakładem Pascala zniknie jednakże w momencie, gdy odnajdziemy w przesłankach to, co wydani na łup niecierpliwości ukradkiem tam schowaliśmy, mniemając, iż właśnie tego dowodzimy. Wystarczy bowiem ze zbioru presupozycji wywodu usunąć pośpieszne założenie, że tylko proponent wierzy, oponent natomiast nie przeciwstawia wiary alternatywnej, lecz spełnia się, zaprzeczając tamtej, błyśmy musieli potraktować z a k ł a d s a t a n i s t y c z n y — nagrodzeni będą zło czyniący — z równą powagą.

Bez dodatkowej zachęty pochodzącej zachęty pochodzącej z zew-

nątrż, rozum nie zdoła wybrać między wiarą w boską przychylność i plan zbawienia objawiony ludziom, a wiarą satanisty w diabelską przewagę nad anielskimi zastępami.

41. Animacja osła

Zamiast paroksyzmu zdyszaney kalkulacji, która miała otworzyć rozum — wyobraźcie sobie mieszkańca kanałów odsuwającego właz, by zaczerpnąć powietrza — na to, co ponad rozumem, widzimy osła Buridana, smętnie gapiącego się na siano, to na jedną, to na drugą wiązkę, bez szansy zaspokojenia.

Rozum, niczym serwomechanizm naprowadzający na cel armatę, działa powodowany zewnętrzną racją. Siła podejrzeń wyjawiających nam, jak się rzeczy mają, winna przesądzać o tym, czy racją tą będzie wierność niebu, czy wierność ziemi.

Zdementowaliśmy kerygmatyczną prawdę, lecz nie potrafimy zdemontować tej zwierzęcej podstawy — naturalnego odruchu cofania się przed bólem — która bez przerwy wytwarza jej potrzebę, nakaz wyzwolenia.

42. Psychopatyczny kanibal a fideista

Fideiści pozbawieni tych nadwężających zwątpień, wyposażeni są prawdopodobnie w najbardziej wyostrzoną, ludożerczą żądzę posiadania — spotykaną u małych dzieci oraz chorych starców, a doprowadzoną do doskonałości w rzadkim okazie naszego gatunku: potworze. Ten, aby wykorzeńić dokuczliwy niedostatek, inkorporuje zewnętrzne ciało w sensie dosłownym, zapełnia bolesną pustkę fizyczną obecnością. Pożera, bo tylko tak potrafi nakarmić żarłoczną potrzebę, niestrudzenie wytwarzającą brak. Kiedy nieskończony szacunek jako skutek nieskończonego uwielbienia prowadzi go do zniszczenia przedmiotu adoracji, następuje przesilenie bałwochwalstwa. Psychopatyczny kanibal zjadający cudowne nogi pewnej kobiety nie musi usprawiedliwiać swojego występku. On przecież ubiegając czas w powolnej pracy ochrania napastliwe piękno absolutu, połyka jego esencję.

Wypreparować momentalne piękno i zamknąć je w skarbcu pamięci

— to cel kanibala. Wypreparować wieczne dobro i uczynić je dostępnym w każdej chwili — to cel fideisty, napychającego sobie usta mięsem nieśmiertelności.

43. Postmodernizm: drugie Oświecenie

Oświecenie było według Kanta wyjściem ludzkości z niezawinionego stanu dzieciństwa i wkroczeniem w wiek dojrzały, wiek samostanowienia i odpowiedzialności. Dzisiaj widzimy, że Kant zapomniał o chmurnym i durnym wieku młodzieńczym, kiedy to synowie wyzwalały się spod trochę uciążliwej, a trochę dogadzającej władzy ojca. Wraz z przemijaniem epoki totalitaryzmów intelektualisci wyrastają z zawnionej dziecięcości i młodzieńczości, wkraczają w wiek męski, w wiek odwagi nie tyle cywilnej, co odwagi idei, jak zwykle dającej najpewniej osamotnienie. Intelektualiści nie wierzą już minionym bajkom, ale bardzo chętnie słuchają nowej opowieści o tym, że wszystkie stare opowieści były tylko bajkami. Nowa opowieść o opowieści jest metanarracją, która zdominowała czas kryzysu metanarracji. Trafiają się oczywiście oporni, tacy, co to nie nadążają, bez nich reszta pozbawiona mobilizującego wroga mogłaby zacząć nie dowierzać własnym poglądom i zapadłaby w sceptyczną hibernację. Wtedy intelektualisci — bo przecież nie ludzkość, która nie może sobie na to pozwolić — wkroczyliby w epokę delezjańską. Niektóre fakultety humanistyczne zostałyby pozamieniane na studia telewizyjne, gdzie przed kamerami, na oczach milionów widzów opowiadano by anegdoty o takich, co to niegdyś próbowali odróżnić rzeczywistość od pozoru, dobro od zła i usiłowali swoje zdanie narzucić innym, jakby ci nie mieli świętego prawa być innego zdania z tej racji, że są inni.